

Urszula Chowaniec: tęsknota to uczucie towarzyszące bezustannie każdemu emigrantowi

Z Polski wyjechała 20 lat temu. Od tego czasu żyje w ciągłej podróży. Londyn, Hiszpania, Finlandia, a ostatnio Sztokholm, gdzie mieszka z rodziną.

W tym roku kończy 41 lat i jeszcze nigdzie się nie zadomowiła. Choć, jak przyznaje, tęskni za nudą i rutyną codzienności.

Twój pierwszy poważny wyjazd - opuszczenie rodzinnego Oświęcimia. Już wtedy wiedziałaś, że tam nie wrócisz, mimo że bliskim mówiłaś coś zupełnie innego.

Czujemy rzeczywistość na różne sposoby. Zwłaszcza opowiadając innym to, co myślimy, że chcą usłyszeć. To łaskawa, dziwna, a jednak forma oszustwa... Wyjechać z domu, miasta, daleko od bliskich jest trudne, bo człowiek zostaje bardzo sam.

Ale Ty lubisz tę swoją osobność.

Lubię, ale jednocześnie zawsze potrzebowałam akceptacji bliskich na moją emigrację... Gdy przyjeżdżałam z różnych miast, musiałam się częściej konfrontować z pytaniem: kiedy przestaniesz się włączyć, niż z afirmacją nowych doświadczeń. Sama zatem zaczęłam opowiadać o jakimś bajkowym czasie, gdy przyjadę z powrotem na stałe, jakby to był warunek akceptacji mnie i mojej emigracji.

Wyjeżdżałaś z rodzinnego domu, będąc młodą dziewczyną, która wierzy, że gdzie indziej czeka ją coś lepszego. Jakie to są emocje?

Nie wyjeżdżałam, by znaleźć coś lepszego. Moje „coś” miało konkretną nazwę, formę: księgarni, bibliotek, sal wykładowych. Nie poszukiwałam niezdefiniowanego metafizycznego Graala, którego mogłabym spotkać wszędzie, nawet w rodzinnym Oświęcimiu, mieście małym, i nawet przytulnym, a tak potężnym i koszmarnym w swojej niestawnej historii.

To po co wyjeżdżałaś?

Chciałam wiedzieć więcej. Krakowskie antykwariaty i książki za 8 złotych, księgarnie, biblioteki zapierały mi dech w piersiach. Byłam więc szczęśliwa. Kiedy pojawiały się lęk czy samotność, szłam na Tomasz do antykwariatu i przeglądałam oryginalne numery czasopism z dwudziestolecia. To było dla mnie jak autentyczne doświadczenie przemieszczania się w czasie, mój prywatny time machine.

Potem był Londyn, stypendium, doktorat. Czułaś się typową emigrantką z Polski?

Oj, typowość to jest dziwna kategoria. Pewnie byłam typowa, choć nikt sam siebie tak nie nazywa. No może tylko ci, którzy mają naprawdę duże poczucie humoru i w tę stereotypowość w ogóle nie wierzą, jak moja siostra, gdy czasami śmieje się z siebie i nazywa „typową blondynką”. Dla mnie Londyn to po pierwsze Agnieszka i Asia, z którymi dzieliłam na początku mieszkanie. I to było chyba prawdziwe przeżycie emigrantki – takie niezwykle doświadczenie sisterhood, kobiet, których tak naprawdę niewiele łączy, ale związane są z jednym miejscem. Dzięki temu na chwilę stają się sobie naprawdę bliskie, wspierają się, jakoś kochają. A potem to wszystko znika, bo zmienia się, choćby o zaledwie kilka stacji metra, kod pocztowy.

Jak przyjęło Cię to miasto?

Jeśli chciałabym znaleźć w Londynie fasadę, która miałaby mnie przyjąć – to byłby to budynek University College London oraz Senate House. Przytuliły mnie do siebie tak mocno, że do tej pory jestem z tymi miejscami związana...

To był ważny dla polskiej emigracji rok 2004.

Maj 2004 zapadł mi w pamięci. Setki ludzi wysiadających z autokarów i koczujących na dworcu autobusowym. Wielu z nich starszych, zagubionych i wkurzonych na całą sytuację. Smutny widok, chodziłam więc, nie z jakiegoś wielkiego poczucia obowiązku czy misji – bo takie gesty wolontarialne często są po prostu dla ludzi upokarzające – ale tak, jakby przypadkowo i rozdawałam papierosy Polakom na Victoria Coach Station. Właściciel sklepiku na rogu mojej ulicy, u którego je kupowałam, zaniepokojony mówił mi w tych dniach, że nigdy tak dużo nie paliłam.

Co wtedy dla Ciebie, młodej dziewczyny z Polski, w tym londyńskim świecie było największym wyzwaniem?

Dorobienie do stypendium tak, by utrzymać się bez pomocy rodziców. Ułożenie życia na nowo: pisałam wtedy jednocześnie pracę magisterską z historii angielskiego ruchu emancypacyjnego na kierunku politologii oraz doktorat z literatury dwudziestolecia. Każdy dzień był precyzyjnie pocięty między uniwersytetem, biblioteką i pracą jako niania w bogatej rodzinie katolickiej w Richmond.

Opowiedz o niej.

Przychodziłam do nich po zajęciach, zawsze z kilkoma książkami pod ręką, a rodzice podopiecznych, Ewy i Daniela, przeglądali je z zaciekawieniem. Jednocześnie widzieli, że byłam zadowolona z tej mojej „przyziemnej”, łatwej pracy, bo po całym dniu wracałam do książek i pisania. Raz zapytali, co robiłam w weekend. Powiedziałam, że znajomy zaprosił mnie na „Dziadka do orzechów”. Popatrzyli ze zdziwieniem, więc wyjaśniałam, że to rosyjski balet Czajkowskiego. „Ach, to ty też znasz rosyjski!”, zachwycili się. „Znam, ale to był balet”, odpowiedziałam. Nie ciągnęłam wątku, nie wyjaśniałam, że libretta są w językach ojczystych, takie tam. W końcu w relacjach ekonomicznych każdy powinien znać swoje miejsce.

Po skończeniu doktoratu wróciłaś do Polski. Skąd ten pomysł?

Myślałam, że Kraków to moje miasto. Chciałam tam wrócić, mieć zastugi w „popularyzacji nauki polskiej”. Okazało się, że to Londyn jest miłością mojego życia. Choć dziś wiem, że wkrótce, może na zawsze, też go opuszczę. Taki los migrantki, nomadki.

Mówisz, że bardzo chciałybyś „gdzieś pasować”, ale jest w Tobie tyle buntu i zadziorności, że nie umiesz się zadomowić w żadnym z miejsc na dłużej.

Moje podróże zawsze były uwarunkowane nauką i pracą, ale jak już się znajdowałam w jednym miejscu, nagle otwierały się inne możliwości i z nich korzystałam. Wierzyłam, że idę w jakimś kierunku, robię postęp, rozwijam się. Migracja jednak taki oczywisty kierunek do przodu komplikuje. Nowe miejsca wymagają zatrzymania się, rozejrzenia i dopiero gdy człowiek zorientuje się w sytuacji, dopasuje do niej, można wybrać drogę naprzód.

A Ty często, gdy już ją wybierałaś, z różnych powodów, przeskakiwałaś gdzieś indziej...

(śmiech) Jeśli typowa kariera przypominałaby szachownicę, byłabym pionkiem, który jest mało przewidywalny, a zatem nienadający się do gry. Stąd też moje życie i kariera wymyka się trochę definicjom. Mam czterdzieści jeden lat i jeszcze się nie zadomowiłam. Nie wiem, czy umiem, ale tęsknię za nudą, rutyną. Za tym, by wiedzieć, co będę robić za rok!



Foto: Archiwum prywatne Urszuli Chowaniec / Materiaty prasowe

Urszula Chowaniec

Londyn nie był jedynym miejscem, gdzie mieszkałaś. Co było potem?

Londyn, Kraków, Tampere, Londyn, Madryt, Almeria, Sztokholm - to ostatnie 10 lat, oczywiście nie licząc krótkich pobytów na stypendiach, wyjazdach naukowych. Po powrocie do Krakowa dostałam pracę, z której nie mogłam zrezygnować na filologii słowiańskiej w Tampere. Następnie wyjechałam na stypendium trzyletnie z fundacji fińskiej i wróciłam do Londynu. W międzyczasie zaczęłam też pracować oraz wykładać w Krakowie. W Londynie założyłam rodzinę, pojawił się syn Alex. A trzy lata później bliźniaki, Hana i Max. Alexa urodziłam w Londynie, angielski był jego pierwszym językiem, bliźniaki przyszły na świat w Madrycie i w Hiszpanii też spędziły swoje pierwsze lata...

No właśnie, jak częste przeprowadzki wpłynęły na Twoje życie rodzinne?

Przeprowadzka to potworna przemoc na przewidywalnej codzienności, której dzieci potrzebują. Oczywiście wiele nas one nauczyły, dzieci musiały wchodzić w nowe języki bez taryfy ulgowej. To na pewno było dla nich trudne, ale obecnie mówią swobodnie w trzech językach i biernie w jednym. Teraz dzieci mają dom, tylko ja nie mam tak do końca, wciąż podróżuję do pracy, wykładam. Wiedzą, że mama jest tylko na kilka dni, a potem znika. Na szczęście ojciec dzieci doskonale przejmuje rolę opiekuna tejże codzienności i rutyny.

Gonzalo nie jest Polakiem, prawda?

Jest Hiszpanem, politologiem. Pracuje na Uniwersytecie w Sztokholmie jako nauczyciel akademicki. Poznaliśmy się w Londynie. Mamy za sobą całą inwentarz wyborów, podróży, krajów, a przede wszystkim lotnisk. Teraz także wspólne dzieci, które zawsze – gdziekolwiek nas jeszcze poniesie – będą dla nas najważniejsze. Zawsze dobrze się rozumieliliśmy, bo mamy podobną łatwość zmieniania adresów, ale oczywiście czas przy-

nosi też nowe projekty czy pomysły na życie, które niekoniecznie są kompatybilne... co oczywiście nie jest końcem świata, ale jest na pewno jakimś końcem...

A jak żyje się mężczyźnie, który ma południowy temperament, w Sztokholmie, mieście kojarzącym się z chłodem, czymś oszczędnym, zasadniczym?

To jest pytanie raczej do Gonzala. Gonzalo uwielbia zimno, śnieg, dlatego lubił Polskę. Wciąż z nią jest związany także zawodowo, bo pisze autobiografię niezwykłego żydowskiego historyka Izaaka Deutschera, urodzonego w Chrzanowie... Ale to też jest moje ciekawe doświadczenie: bo to raczej ja nie mogę się odnaleźć w Sztokholmie, choć niezwykle szanuję ten kraj, jego historię, ludzi, ich tak zdystansowany sposób konfrontowania się z rzeczywistością, opanowanie. Jeśli chodzi o hiszpański temperament, to chyba ja zawsze miałam bardziej hiszpański temperament.

Tworzycie międzynarodowy dom, wielokulturową rodzinę. W jakim języku rozmawiacie?

Ja rozmawiam po polsku, Gonzalo po hiszpańsku, w szkole dzieci mówią po szwedzku. Rodzice, czyli Gonzalo i ja, zawsze po angielsku. Zatem nasze rozmowy są zlepkiem tych czterech języków.

Co zmieniło w Twoim życiu bycie matką?

Mam bardzo skomplikowany stosunek do instytucji, zwanej „bycie matką”. To niezwykle patriarchalna koncepcja, która uwikłana jest w ekonomię i politykę. A ponieważ oparta na silnym instynkcie miłości kobiety do swoich dzieci, nie jest łatwo wyzwolić się z tych wszystkich uwikłań, definicji, narzucanych przez świat kobiecie, mówiąc, co to znaczy być matką, dobrą matką! Jeszcze pięć lat temu nie wyobrażałam sobie, że mogę przeżyć dzień bez pracy: książki, ułożenia choćby kilku zdań recenzji czy krytyki, przeglądu listy rzeczy do napisania, notatek...

A teraz...?

Mogę! Wyobrażam sobie, że ktoś przeczyta to, co mówię, i uzna mnie za wariatkę. Pomyśli: „Och, jaka biedna, teraz nie może przeczytać książki, bo ma dzieci. No tragedia”. Nie tragedia, nawet śmieszne, ale to tylko moja banalna perspektywa diametralnych, katastrofalnych zmian, które przynoszą dzieci. To katastrofa starego życia, przyzwyczajęń, odruchów. Koniec świata. A potem rodzi się nowy świat.

Jak wygląda ten Twój nowy świat?

On się wciąż tworzy, bo to nie przychodzi od razu. Chyba teraz właśnie jest czas na nowe życie. Ten nowy świat musi być zakorzeniony, to będą przede wszystkim korzenie między mną a moimi dziećmi, takie silne emocjonalne, domowe, miłosne uwikłanie...

Kiedy myślisz: DOM, jakie masz skojarzenia?

Jako miejsce fizyczne? Biurko do pracy. Moje i tylko moje, święte. Potem kawa rano, sobota, piżama, puszyste dywany oraz lustra. A w wymiarze duchowym: dom to ciepła i radosna miłość. Uśmiech, okruszki po herbatnikach przed telewizorem, książka z ołówkiem jako zakładką pośród stosu zabawek... Taki dom stworzę.

Kiedy nauczyłaś się myśleć o Polsce jako o miejscu, które nie jest Twoim domem?

Nie nauczyłam się. Zawsze będę z Polski. Tylko mój „polski” dom jest już w innym miejscu. To może dość pokretna logika, ale każdy migrant rozumie ją doskonale.

Polacy mieszkający w Polsce narzekają, jak żyje się w naszym kraju. Emigranci, po latach, często idealizują Polskę, dostrzegają, że im jej brakuje. Ty też tak miałaś?

Nie, nie idealizuję Polski. Emigracja pozwala na dystans wobec aktualnych wydarzeń i polityki. Wiem jednak, co dzieje się w kraju, bo sprawdzam wiadomości, zanim zrobię poranną kawę. Jestem na bieżąco także dzięki social media, grupom zainteresowań, w których uczestniczę, oraz przez silne związki zawodowe z Polską. Trzeba pamiętać, że jeśli ktoś wycofa się z tego bałaganu codziennej polityki, może na nowo spojrzeć na swój kraj. Polska to niesamowite miejsce, bogata, fascynująca literatura, tradycje, historia, która swoimi meandrami zagarnia niemal cały świat. Łatwo o tym zapomnieć, gdy nowoczesna retoryka polityczna i debaty społeczne coraz wyraźniej straszą płycizną.

W jaki sposób tworzysz sobie własną przestrzeń za granicą? Dużo ludzi przyznaje, że towarzyszy im ciągle poczucie obcości, że nigdzie nie są w stanie się poczuć u siebie.

Ja zawsze jestem trochę u siebie, trochę skądinąd, przede wszystkim dzięki mojej pracy. Zajmuję się krytyką feministyczną, ruchami na rzecz równouprawnienia, LGBT, problematyką gender, która dla mnie osobiście i zawodowo zawsze była ważna. Te tematy są ważne i istotne. W tym tygodniu w Londynie będę na kilku seminariach poświęconych nowoczesnym ruchom feministycznym, a w czwartek w Sztokholmie spotkam się na wywiad z Sue Sandres, jedną z najważniejszych aktywistek na rzecz równouprawnienia osób LGBT w szkołach brytyjskich. Taka globalna wioska, a w niej ustawiam sobie swoje biurka do pracy...

Mówisz, że dzięki emigracji rodzą się nowe potrzeby, marzenia. Jakie są teraz Twoje marzenia?

Mam potrzebę rutyny. Długich, leniwych dni. Szwedzkie lasy, szwedzka zima temu sprzyjają. Tymczasem ja w te zimowe wieczory pędzę z lub na lotnisko. Z książką i laptopem pod ręką, zawsze tęskniąc, bo tęsknota to podstawowe, bezustanne uczucie towarzyszące migrantom.

Urszula Chowaniec, od 2001 roku za granicą. Pracuje w szkole Studiów Słowiańskich na University College London. Tam zajmuje się językiem i kulturą polską. W Polsce związana jest z Krakowską Akademią im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, gdzie zajmuje stanowisko profesora nadzwyczajnego. Prowadzi projekt Impacts of Gender oraz badania nad kulturową historią LGBT. Na co dzień, ale nie codziennie mieszka w Sztokholmie z trojgiem dzieci.